

Polemika: Poziomu szkoły wyższej nie powinni oceniać jej profesorowie

Mierzenie miarki

W krótkim czasie ukazały się dwa odmienne rankingi wyższych uczelni: przygotowany przez pisma „Perspektywy” i „Rzeczpospolita” (z 10 kwietnia 2001 r.) oraz przez „Politykę” (specjalny dodatek do nr. 17 z 28 kwietnia 2001 r.). Oba wywołały wielkie poruszenie nie tylko w środowiskach akademickich. Żaden ranking nie jest w pełni obiektywny, szczególnie wtedy, gdy dotyczy materii tak złożonej jak całościowa ocena uczelni. Jednak z zadania można wywiązać się lepiej bądź gorzej. Lista rankingowa opracowana przez „Perspektywy” i „Rzeczpospolitą” w przypadku trzech z czterech najważniejszych elementów oceny jest obciążona poważnymi błędami metodologicznymi. Warto się o te sprawy pospieszać.

Stanisław Mrówczyński

Miesięcznik edukacyjny „Perspektywy” wraz z „Rzeczpospolitą” przygotowały ranking, w którym wszelkie uczelnie, duże i małe, akademie teologiczne i wychowania fizycznego stanęły do jednego wyścigu. Autorzy rankingi przyjęli, że najważniejszym elementem oceny szkoły jest prestiż, jakim cieszy się ona w oczach profesury i przedstawicieli największych firm. Opinia tych dwóch środowisk aż w 50 proc. decydowała o miejscu w rankingi. Pozostałe dwa kryteria – poziom naukowy i warunki studiowania – wchodziły do pełnej oceny z wagami, odpowiednio, 30 proc. i 20 proc. Choć już sama wielkość przyjętych współczynników wagowych budzi wątpliwości, znacznie bardziej problematyczny wydaje się dobór opiniodawców.

Do naukowców, którzy uzyskali tytuł profesorski w latach 1999 i 2000, rozesłano ankietę z pytaniem: „Gdyby Pana córka, syn, wnuk czy wnuczka wybierali się na studia, jaką uczelnię byście im zarekomendowali?”. Jak należy przypuszczać, a przykładowe opinie zamieszczone w „Perspektywach” w pełni to potwierdzają, respondenci często wskazywali swoją macierzystą placówkę. Jak zaś dramatycznie samoocena różni się od oceny innych, pokazują niedawno opublikowane badania, dotyczące bezpieczeństwa ruchu drogowego. Otóż blisko 80 proc. polskich kierowców uważa, że głównym zagrożeniem są inni użytkownicy dróg, którzy jeżdżą zbyt brawurowo. Podobny jednak procent kierujących pojazdami określa swój sposób jazdy jako bezpieczny. Typowa opinia więc brzmi: – *Ja prowadzę dobrze i rozważnie, inni źle i niebezpiecznie.*

Profesorowie wykazują zapewne podobną do reszty społeczeństwa skłonność do podwyższonej samooceny. Nie musiałyby to jednak istotnie wpłynąć na wynik rankingi, gdyby wśród 350 opiniujących profesorów nie dominowali przedstawiciele największych uczelni. Szkoły wyższe zaś są szalenie zróżnicowane pod względem liczby zatrudnionych nauczycieli akademickich. Ponieważ Uniwersytet Warszawski zatrudnia 573 doktorów habilitowanych, a np. Uniwersytet w Białymstoku 86 (dane MEN z 2000 r.), można przypuszczać, że wśród profesorów oceniających uczelnie było kilka razy więcej reprezentantów stołecznego niż białostockiego uniwersytetu.

Podobny błąd popełniono przy wyborze pracodawców oceniających uczelnie. Wśród 200 wytypowanych firm aż 41 zlokalizowanych jest w Warszawie, co automatycznie preferowało stołeczne szkoły wyższe. W Lublinie, Poznaniu i Krakowie było, odpowiednio, 10, 9 i 8 oceniających firm. Natomiast Szczecin, Bydgoszcz, Łódź reprezentowały tylko po dwie. Tak nierównomierne rozmieszczenie pracodawców przy niskiej mobilności naszego społeczeństwa musiało deformować wyniki sondażu. Skąd bowiem biura kadr warszawskich firm mogą czerpać wiedzę o absolwentach, powiedzmy, Uniwersytetu Szczecińskiego. Wyniki rankingi rzeczywiście ujawniają dziwne prawidłowości. Wystawione przez pracodawców oceny trzech lubelskich uczelni – Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Politechniki Lubelskiej – są wyższe od uśrednionej oceny danej uczelni. Jest to szczególnie jaskrawo widoczne w przypadku Politechniki Lubelskiej, która w całym rankingi ma 44 lokatę, podczas gdy pracodawcy umieścili ją aż na 19 miejscu. Czy nie jest to efekt względnej nadreprezentacji lubelskich pracodawców?

Poziom naukowy uczelni oceniano wedle czterech kryteriów, z których dwa wchodziły z najwyższą, wynoszącą po 7,5 proc., wagą. Pierwsze to kategoria przyznawana uczelni przez KBN. Drugim kryterium była liczba doktoratów i habilitacji uzyskanych przez pracowników danej uczelni w 1999 r. przypadająca na jednego profesora tej uczelni. Wedle tak określonej mocy naukowej aż cztery pierwsze miejsca zajęły akademie medyczne. Oznaczałoby to, że medycyna jest najsilniejszą gałęzią polskiej nauki. Jednak inne dane mówią coś zupełnie innego. Przy ocenie poziomu naukowego placówek badawczych za najważniejsze ilościowe kryteria przyjmuje się zwykle liczbę publikacji w czasopiśmie o zasięgu międzynarodowym oraz liczbę cytowań tych prac. Pierwsze kryterium mówi o aktywności naukowej placówki, drugie określa rezonans, jaki wywołują prowadzone tam badania. Z opublikowanej w 1994 r. pracy J. Kozłowskiego „Miejsce nauki polskiej w świecie” (dane z lat 1981–1992) można się dowiedzieć, że publikacje polskich chemików stanowią 2,2 proc. łącznej liczby prac z tej dziedziny. Odpowiednie liczby dla fizyków i matematyków wynoszą 2,1 proc. i 1,9 proc. Natomiast polskie prace dotyczące medycyny klinicznej to zaledwie 0,2 proc. wszystkich publikacji. Podobnie rzecz się ma z cytowaniami. Łączna liczba cytowań artykułów polskich matematyków, fizyków i chemików stanowi – odpowiednio –

1,3, 1,2 i 1,1 proc. wszystkich cytowań z danej dziedziny. Cytowania zaś polskich prac z medycyny klinicznej to zaledwie 0,1 proc. całości. Tak liczony wkład polskiej medycyny w światową jest więc jakieś 10 razy mniejszy niż polskiej chemii, fizyki czy matematyki.

Przy wyborze profesorów i pracodawców wskazujących najlepsze szkoły nie zadbano o reprezentatywność próby respondentów. Zastosowane zaś kryterium oceny poziomu naukowego ośrodków akademickich jest nietrafne przy porównywaniu różnych dyscyplin naukowych. W efekcie ranking szkół wyższych „Perspektyw” i „Rzeczpospolitej” opiera się w większej mierze na obiegowych opiniach niż zobiektywizowanych kryteriach i ich rzetelnej statystycznej analizie.

Autor jest profesorem fizyki, pracuje w Instytucie Problemów Jądrowych w Warszawie oraz w Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach.